

Matka

Matka. Tak mnie zawsze wołali, to i imienia swojego człowiek zapomniał i na grobie pewnie tak mi napiszą: matka.

Jeszcze swoich synów nie miałam, a już matką byłam. W chałupie nas dziewięcioro, a ja najstarsza, zajmowałam się wszystkim, jak nasza matula w polu była; prać, gotować i chleby piec nawykła byłam i fartuch matczyny nierzadko zakładałam, to i nie dziwota, że któremuś z braci pomyliło się czasem i jak krzywda mu się działa, to do mnie z płaczem biegł i mama wołał.

Tyle swobody za młodu miałam, co raz na pielgrzymkę do Częstochowy poszłam. Ale też i świata tyle, co się wtedy napatrzyłam, to na całe życie mi wystarczyło. Panną jeszcze byłam, to i nogi drogi chętne były i oczy brały w siebie świat cały, jakbym obrazki święte na odpuscie wybierała do oglądania w smutne dni.

Kupiłam w tej Częstochowie Panienkę Najświętszą w sukience modrej, jakby niebo w dzień słoneczny się na niej rozścieliło. Ciężko mi było czasem na gospodarce, to sobie przy niej przyklękałam, i znów, jakbym młoda była, i o nic się troszczyć nie musiała, tylko aby krok za krokiem nogi niosły od rana do wieczora i aby mi gardła do śpiewania godzinek wystarczało. Bo

głos mocny miałam i nieraz mnie proboszcz nasamprzód wołał, żebym modlitwy zaczynała, a wszyscy za mną powtarzali, jakbym to ja nie księdzem nawet, a sama Panienką Świętą była. Potem mi ten głos tylko do wołania chłopaków z pola przydawał się. Jak Michał czy Stasiek krzyknęłam, to aż przy kapuście było słychać, a wiadomo, że u nas kapustę na ostatnim zagonie się zbierało. Chyba na każdego jednak przypada, ile słów wykrzyczeć może, bo na starość cichutka się zrobiłam, dwa słowa z ledwością mi przez gardło przechodziły, a i to z kaszlem, i w piersi od razu kłuło mnie, że i wołałam wcale się nie odzywać.

Po tej pielgrzymce to już niedługo panną chodziłam. Zaczęło mnie brać na kapustę kiszoną i wodę z ogórków, to już matula wiedziała, że niedługo pożytek mieć ze mnie będzie. Przykazała mi nie mówić nikomu, tylko do kawalera iść i powiedzieć, żeby na zapowiedzi dawał.

Nic jeszcze na ślubie widać nie było, choć piąty miesiąc już się rozpoczynał, to i w welonie szłam do ołtarza i na weselu tańcowałam i nikt by się nie domyślił, że to z musu całe to weselenie. A w tydzień później słabość mnie jakaś naszła i blada chodziłam i zakazał mi mój Pietruszka w pole wychodzić czy izby bielić, choć wiadomo, że roboty pełno było, bośmy się dopiero co do ojca jego sprowadzili.

Leżałam w pościeli jak jaka królewna, ale na nic się to zdało, bo krew się ze mnie puściła, a potem bóle naszły i tak na tych

białych kołdrach dziecko ze mnie wyszło. Maleńkie takie, że w dłoni się zmieściło, a pokurczone, jakby już całe życie miało za sobą, a przecież umarło, zanim się urodziło. Bo ani na chwilę nie westchnęło, kiedy z tym światem się witało, więc pomyślałam, że już dawno nieżywe musiało być, bo przecież powinno być brzuch widać na piąty miesiąc, a u mnie nikt by nie poznał. Patrzyłam na stopki malutkie jak mój paznokieć najmniejszy i nadziwić się nie mogłam, że jak u dorosłego już gotowe wszystko - jakby zaraz w drogę daleką miało ruszać, tylko butków takich małych nikt by nie dał rady zrobić, to by już musiało boso.

Zawinęłam to małe ciało w poszewkę czystą od poduszki, i jeszcze piór do środka nasypałam, żeby miękko miało spać na wieczność.

Nie płakałam nic, tylko poszłam na cmentarz, jakbym we śnie była, a jeszcze jak mnie ktoś pozdrawiał po drodze, to i odkłoniłam się z uśmiechem.

Rękami mały dołek wykopałam, niedaleko starego wiązu, żeby mi się potem nie myliło. Zresztą m maleństwo takie, ile to tego kopania było. Zasypałam na płasko, nikt przecie brzucha nie widział, to i grobu widzieć nie powinien. Zmówiłam pacierz, kamień położyłam na wierzchu i spokojna do domu wróciłam.

Dopiero potem żalność na mnie przyszła. Nieraz na sumie siedziałam i nagle łzy jak grochy z oczu mi się puszczały i słyszałam, jak baby za mną szeptały, że mnie Pietruszka pewnie

bije i szkoda mnie takiej młodej. A on nie bił, tylko mówił: nie frasuj się, jeszcze będziemy dzieci mieć, jeszcze Bóg pobłogosławi. A ja wtedy bardziej płakałam, bo chciałam tylko to jedno, co pod kamieniem leżało. I myśli się we mnie kłębiły: że to może żyć nie mogło, bo z grzechu było - ale mało to z brzuchem do ołtarza szło, a jakoś rodziły? Albo że przez wódkę na weselu. Ale i piły i pijane rodziły. Tak że pewnie na matkę nie nadaję się, to i lepiej, że zabrał Bóg, niżby się miało przy mnie zmarnować.

Ale niedługo dał Bóg następne, choć uwierzyć nie mogłam, że się urodzi. Już z brzuchem wielkim chodziłam, tak że pytały się mnie: to niedługo już chyba? A ja tylko rozmyślałam, że jak znowu martwe będzie, to już trzeba będzie pogrzeb z księdzem i grób zrobić, a nie jak tamtemu tylko kamień. To i nie dziw, że chłopak markotny od urodzenia był, i lękliwy do wszystkiego, a już na koniec życia, jak ze świata dalekiego do nas wrócił, to tak żył, jakby nie żył - oczami mętnymi patrzył, jakby nic nie rozumiał, a ja już stara, głaskałam jego głowę i płakałam - Michaś, Michaś, bo on przecie

z mojego brzucha tę żalność na siebie ściągnął i tak już być na zawsze z nią musiał, że widać aż mu w głowie pomieszała.

Następne chłopaki już weselsze były, a najbardziej to Szymek, co zaraz po Michale urodzony - jakby za trzech zawsze łobuzować musiał. Zgryzoty najwięcej przez niego miałam, ale i uciechy najwięcej. Jak śmiał się, to tak się zanosił, aż go ojciec od stołu nieraz wypędzać musiał, bo uspokoić go nie dawało rady. A Antek i Stasiek, co następni porodzili się, też do psot pierwsi. Klękałam przed moją Panienką niebieską, to czasem i modlić się nie wiedziałam o co, bo co Ona mi poradzić mogła, jak jednego tylko Syna chowała, i to jeszcze Boskiego, a u mnie czorty same.

Ale póki byli przy mnie, to i ze wschodem wstawać miało się siłę i kłaść po nocy nie było za ciężko - bo wiadomo, i portki czasem pocerować trzeba było przy świecy i chleb zagnieść, żeby wyrósł do rana. Chwałyły mnie baby: o, z Pietruszkowej to matka. A ja ze strachu wszystko robiłam, żeby mi Bóg którego nie zabrał, i wyglądałam ciągle za nimi. I jak kwoka garnęłam ich do siebie, aby się tylko nie porozbiegali.

Ale jak kwoka nie upilnuje, tak i ja upilnować nie dałam rady. Porozchodzili się - w miasto, w wojnę, i był czas, że jedyny syn, jakiego miałam blisko, to ten najpierwszy, co pod kamieniem leżał. Siły mnie wtedy odeszły i włosy posiwiały od myślenia tego: wrócą się czy nie wrócą. Listy tylko pisałam, ale ani wysłać by ich nie miał kto, ani adresów nie miałam, to zbierałam je tylko do

szuflady, znajdą może, jak mnie już nie będzie, i pomyślą, że ich w każdej godzinie wspominała.

Żeby choć któryś przy ojcach został, żonę sprowadził, abym i wnuki na starość mogła chować. Jaka matka ze mnie była, co żadnego z synów życia przyzwoitego nauczyć nie umiała. Antek, Stasiek w mieście zostali, ani na święta nie odwiedzają, Michał nieodzywający się, jakby go między żywymi nie było, Szymek tylko przy nas, ale i on po wojnie jakby popsuty, ani do żeniaczki, ani do gospodarki już się nie nada. Czas umierać, nic już nie naprawię. Łzy mi ciekną po twarzy, biorę w ręce Szymkową głowę i mówić już nie mogę, więc choć nad nim popłaczę, a każda łza jako ziarnko pacierza: jednemu synowi życia dać nie umiałam, moja wina, czterem dałam, ale liche te życia, moja wina, przebaczcie starej, moja bardzo wielka wina.

Wołali na mnie matka... Szkoda, że imienia już mojego nikt przypomnieć nie może, bo by się ono bardziej do wyrzucia w kamieniu nadało.